

Katolicki kościółek u stóp Kilimandżaro

Tadeusz Jaworski (*Toronto, Kanada*)

Opracowanie tekstu i redakcja: Joanna Sokołowska-Gwizdka



Tadeusz Jaworski z ekipą u stóp Kilimandżaro, lata 60., fot. arch. T. T. Jaworskich. W królestwie Bugandy (*największe z królestw Ugandy, przyp. red.*) tubylcy mają swojego „Adama”. O Ewie i jabłku oraz pierwotnym grzechu mi nie wspomniano, stąd wniosek, że w ich wierzeniach Ewa nie istniała. Wierzą natomiast, że był nim człowiek z ich plemienia, imieniem Kintu. Nie jest on dla nich legendarną postacią z „Biblii Pauperum” czyli z biblii ubogich, a człowiekiem, który w ich wierzeniu w rzeczywistości istniał i żył w Bugandzie przed kilkuset laty. Jeszcze inni, których indagowałem w tej interesującej sprawie twierdzili, że nie Adam, a właśnie Kintu jest symbolem pierwszego człowieka. Z kolei w królestwie Bunyoro (*jedno z królestw współtworzących Ugandę, przyp. red.*) tubylcy niezależnie od ich statusu społecznego oraz wykształcenia, są głęboko przekonani i wierzą, że pierwszy człowiek na świecie stworzony przez Boga, o imieniu Kintu, pochodzi nie z uzurpującego sobie ten przywilej królestwa Bugandy, a z królestwa Bunyoro. W królestwie Busoga zaś tubylcy z całą stanowczością twierdzili, że nie w Bugandzie i nie w Bunyoro, lecz u nich w królestwie Busoga, żył pierwszy człowiek stworzony przez Boga.

Mały kościółek u podnóża góry Boga Kibo, w paśmie gór Kilimandżaro, stał wśród spalonych żarem słońca traw sawanny. Przypominał zwyczajną szopę zbudowaną z drewnianych bali, pokrytych tak na zewnątrz jak i wewnątrz gliną zmieszaną ze słomą traw w kolorze ochry. Zamiast kościelnego dzwonu na gałęzi uwieszony był kawałek żelaznej szyny. Przed kościółkiem spotkaliśmy starego Murzyna o siwych, krótko przystrzyżonych włosach, który okazał się być tutejszym kościelnym. Kiedy tylko byliśmy w pobliżu tego niezwykłego miejsca, wpadaliśmy tu chociaż na chwilę, aby usiąść samotnie na drewnianej belce i w kompletnej ciszy porozmawiać sobie z panem Bogiem. Za każdym razem spotykaliśmy głęboko rozmodlonego kościelnego, siedzącego na przyzbie kościółka, z podkurczonymi nogami i z dużym różańcem w ręku. Zaprzyjaźniłem się z tym szlachetnym

człowiekiem z plemienia Czaga. Był on dla mnie i pozostał w mojej pamięci po prostu dobrym człowiekiem z Kilimandżaro.

Nie zauważyłem na dachu tego kościółka wieżyczki zwieńczonej krzyżem. Krzyż jako symbol męczeństwa, religii miłości i chrześcijańskiego pokoju, był już od wczesnych lat mojej młodości enigmatyczną zagadką. Ukrzyżowanie człowieka było przecież przerażającym narzędziem tortur, przejętym przez Rzymian od starożytnych Kartaginów, którzy stosowali tę karę na szeroką skalę na Bliskim Wschodzie. Ukrzyżowanie jako rzymski wymiar kary, był wymierzany za wszelakiego rodzaju przestępstwa, ale przede wszystkim za przewinienia polityczne przeciwko imperium rzymskiemu i cesarzom. Śmierć Jezusa, obojętnie z jakiego punktu widzenia na nią spojrzeć, jest do dziś otoczona wielką niewiadomą. Kompletna i wiarygodna prawda jest jakby zamknięta w „kokonie” tajemnicy. Jedynym biblijnym faktem, który nie jest otoczony aurą tajemnicy i nie podlega najmniejszej dyskusji na ten temat jest to, że 2000 lat temu na Golgocie w Judei, człowiek o imieniu Joshua, a więc Jezus, umarł na krzyżu śmiercią męczeńską, skazany wyrokiem jednego i tylko jednego człowieka, którym był wówczas rzymski gubernator prowincji Judei, Pontius Piłat. Jego postać wśród „personas dramatis”, które odegrały ogromną rolę w życiu i śmierci Chrystusa, jest wyjątkowo dobrze udokumentowana przez ówczesnego historyka Józefa Flawiusza. Są nam znane również pewne szczegóły ze współczesnych dokumentów opisujących jego charakter jako człowieka. Wiemy, że był on brutalnym tyranem i podobnie jak Hitler w Niemczech, Stalin w sowieckiej Rosji czy Mao Tse-Tung w Chinach, Pontius Piłat był również samowolnym ciemiężcą, który bez najmniejszych skrupułów, skazywał niewinnych ludzi na ukrzyżowanie. Spośród około kilkunastu tysięcy krzyży postawionych przez Rzymian w Judei na Golgocie, na których zginęli śmiercią męczeńską Żydzi tamtych czasów, historycy przypisują Piłatowi około 2 tysięcy. Jezus był jednym z nich. Z historycznych zapisów, przede wszystkim Józefa Flawiusza wiadomo również, że Pontius Piłat był wyjątkowo wrogo nastawiony do ludności Judei i żaden ze współczesnych historyków, teologów czy znawców Starego i Nowego Testamentu, nie ma najmniejszej wątpliwości, że Piłat nie dałby Jezusowi najmniejszej szansy na ułaskawienie.

Wnętrze kościółka pozbawione było wszelkich sakralnych świecidełek i ozdób, a także świętych obrazów. Ściany w środku były prawie tego samego koloru co na zewnątrz, tylko ich żółtość była nieco bardziej przydymiona. Jedynym sakralnym

obiektem i ozdobą był niewielki, prymitywnie zbudowany ołtarz, z topornej afrykańskiej akacji. Dwie podpórki i blat, a pośrodku niewielki, wyrzeźbiony w tym samym akacjowym drzewie, zapewne tą samą ręką lokalnego ludowego artysty z plemienia Czaga, stał prymitywny krucyfiks. Ile razy przyglądałem się tej rzeźbie, znajdowałem w niej coś nowego. Było bowiem w tym na wpółobnażonym Chrystusie, w jego bezwładności, w dramacie śmierci człowieka, który wyprowadzony przez rzymski pluton centurionów na Golgotę, został ukrzyżowany, tyle wyrazu, że ciarki przechodziły po plecach. Krucyfiks ten zrobił na mnie kolosalne wrażenie, zapewne dlatego, że była w nim jakże wymowna prostota, przy jednoczesnym ogromnym ładunku emocji i siły duchowego uczucia.

Przyglądałem się więc krucyfiksowi, w którym tak silnie potrafił domorośły artysta z plemienia Czaga, oddać cierpienie człowieka na krzyżu. Przyszło mi do głowy, zresztą nie po raz pierwszy, co by się wydarzyło w historii rozwoju naszej cywilizacji, gdyby Chrystus nie umarł męczeńską śmiercią na krzyżu? Co by się stało, gdyby symbol krzyża, w ogóle nie zaistniał? Czy kościół judeochrześcijański by przetrwał? Te i podobne myśli spowodowały, że w przyszłości zrealizowałem serial telewizyjny „Proces Jezusa”, którego centralnym motywem była nietolerancja i nienawiść między ludźmi.

We wnętrzu zamiast kamiennej posadzki, czy dekoracyjnych kolorowych marmurowych płytek było zwyczajne gliniane klepisko, a na nim w rzędzie po obu stronach z wąskim przejściem po środku, położono kilkanaście kłód obciosanego z kory drzewa, w szarym kolorze jakby wyrzuconego niedawno z wody na brzeg „drifting wood”. Kilka dużych i pięknych w kolorze jaszczurek zazwyczaj baraszkowało po ścianach. Czasem jedna z nich lub druga, zatrzymały się w ruchu i zastygały na moment wyłupiając się na mnie swoimi błyszczącymi jak koraliki oczami, jakby były zdumione, że nagle zobaczyły we wnętrzu tego kościółka, białego człowieka.

Nikt nie śpiewał tu ani kantaty ani oratorium, które jak wiemy są ogromnym atrybutem „propaganda fides”, zawsze dodając swoją atmosferą splendoru potędze kościoła jako instytucji, a także podtrzymując wiarę w Boga, która stała się siłą zorganizowanego kościoła. Tu w tej małej świątyni, gdzie Bóg zapewne przemawia bezpośrednio do wiernych, tu gdzie króluje ukrzyżowany Chrystus, w tym krucyfiksie wolno stojącym na ołtarzu, znalazłem pewnego poranku atmosferę pokory i subtelne brzmienie wyciszonego misterium – egzotyczną pieśń Missa Luba, śpiewaną przez tubylców z plemienia Czaga. Wpatrywałem się z uporem w

ten prymitywny krucyfiks, w tego Syna Bożego, który nie przynależy przecież do określonej rasy, a kolor jego może być biały, czerwony, żółty, a także czarny, taki jak tych ludzi z plemienia Czaga, siedzących i stojących obok mnie, w czasie niedzielnej mszy. W tym kościółku Chrystus na krzyżu był biały. Przez moment zastanawiałem się nad tym kuriozum. Dlaczego Chrystus, tu na Czarnym Ładzie, u stóp Kilimandżaro, nie jest uosobieniem człowieka o negroidalnych rysach i o czarnym kolorze skóry? Tradycja? Czy też fakt, że Syn Boży pojawił się na ziemi jako biały człowiek. Właściwie niewiele wiemy na temat zewnętrznego wyglądu Syna Bożego. Synoptyczne ewangelie nie dają nam jego opisu, a trudno jest wziąć za dobrą monetę i przyjąć jako wizualny fakt i stworzyć sobie na tej podstawie prawdziwy obraz Chrystusa, na podstawie miniatur, obrazów, rzeźb, czy „autentycznego” odbicia na żałobnej tkaninie, znanej jako Turyńska. Nie wiemy jak wyglądał tak na prawdę człowiek, który dwa tysiące lat temu został ukrzyżowany. Jest to jedna z tajemnic, która nigdy nie zostanie odkryta. Być może właśnie tak powinno być, ponieważ prawdziwym symbolem chrześcijańskiej wiary jest i będzie znak krzyża.

Wpadając do tego kościółka byłem zawsze tak skupiony, że pewnego niedzielnego poranku nie zdążyłem zauważyć, kiedy jeszcze przed chwilą pusty budynek, zapełnił się wiernymi. Wszyscy patrzyli w stronę krucyfiksu. W pewnym momencie zapomniałem o kościółku, o całej scenerii, o tym gdzie byłem i dlaczego się tu znalazłem. Wszystko jakby wygasło, a ludzie roztopili się we mgle. Pozostał jedynie krucyfiks, na którym całkowicie się skoncentrowałem. Znalazłem się na moment jakby w próżni zamknięty w sobie, z myślami które trapiły i trapią mnie całe życie i spozierając na tych tubylców z plemienia Czaga, siedzących i stojących obok mnie, ze wzniesionymi pełnymi głębokiej wiary oczami w stronę krucyfiksu. Jakby w daleka dochodziła mnie urokliwa i pełna egzotyki religijna Missa Luba.

W kościółku nie było kolorowych witryn i rozet pełnych kwadracików, kół i trójkątów, przez które spektakularnie prześwituje z zewnątrz słoneczne światło. Jedyne źródło światła, które wkradło się do tego pokornego miejsca, padało wąską smugą przez niewielkie okienko, oświetlając punktowo ten mały topornie wyciosany krucyfiks. Nie było też kolumn wspierających glinianą strukturę tej prymitywnej świątyni, zwieńczonych kopułą oraz obrazów ukazujących Jezusa w rozmaitych sytuacjach i pozach jak w artystycznej wizji „Sądu Ostatecznego”. Była tylko moja wyimaginowana wizja Jezusa, wywołana głosami Missa Luby,

śpiewanej po łacinie, czyli w języku obrządku rzymsko-katolickiego. W tej pieśni oprócz cech kościelnych, było też coś afro-ludowego, tak w rytmie jak i w polifonii wyrażanej różnymi dźwiękami tonalnymi. Tempo jej było inne, aniżeli w afrykańskich ludowych śpiewach rytualnych. Zwolniona, jak w adagio partia Agnus Dei, przypominała mi śpiewy gregoriańskie. Co za rytm. Co za tempo. Jak wspaniała w tym była naturalna ekspresja głębokiej wiary pozbawiona jakiegokolwiek sztuczności. Było to zresztą widoczne na twarzach ludzi. A te ich głosy i melodia, trafiały prosto do moich zmysłów i serca.



Kilimandżaro

Nie było w tym kościółku symboli Wniebowstąpienia, Chrystusa unoszącego się w aureoli aniołów. Nie było ozdobnych fryz z wczesnych romańskich, gotyckich czy barokowych kościołów. Nie było naw i naturalnego mroku oraz zapachu kadzidła, które stwarzają niezwykłą, pełną uduchowania atmosferę, przynoszącą ulgę i spokój ducha. Nie było w tym wnętrzu poza mną i tubylcami z plemienia Czaga, turystów, ani myśliwych „safari” z głupimi twarzami, żądnych krwi niewinnych zwierząt. Ale w tej skromnej świątyni unosiła się atmosfera skupienia i kontaktu z niewyobrażalnym Bogiem, uwiecznionym na krzyżu, który nie ma negroidalnych rysów twarzy, lecz przedstawia białego człowieka. Dla tych ludzi nie ważny jest kolor skóry. Oni wierzą w Jezusa Chrystusa, jako Boga i Zbawiciela. Ale, jak mi poniektórzy w skrytości ducha powiedzieli, na wszelki wypadek w zanadrzu

utrzymują stare plemienne tradycje wierząc w animistyczne bożki i dobrego ducha Dżu-Dżu, bo w życiu są sytuacje, kiedy jest lepiej mieć więcej niż jednego Boga. Jeśli jeden nie pomoże to zawsze można uciec się do drugiego. Ileż w tym ironii. Jak powiedział Wolter „tolerancja nigdy nie wzniecała wojny, natomiast nietolerancja pokryła ziemię trupami”.

Będąc w Afryce sam, z dala od mojej uwielbianej żony, mojego „Ptaszka”, z dala od kraju nadwiślańskiego, który jest mi tak bliski, od Gór Świętokrzyskich, Świętego Krzyża i Świętej Katarzyny, od miejsc gdzie sprawdziły się prorocze słowa Stefana Żeromskiego z „Popiołów”:

Ogary poszły w las. Echo ich grania słabło coraz bardziej, aż wreszcie utonęło w milczeniu leśnym. Zdawało się chwilami, że nikły dwugłos jeszcze brzmi w boru, nie wiedzieć gdzie, to jakby od strony Samsonowskich lasów, od Klonowej, od Bukowej, od Strawczanej, to znowu jakby od Jeleniowskiej Góry...

Miejsca te były dla mnie i mojej pracy zawsze czymś ożywym, czymś w rodzaju powiewu świeżego powietrza. Tu zaś pod Kilimandżaro, w okolicy tej mistycznej pełnej wzniesłego piękna góry, w atmosferze tego pełnego pokory i skromności kościółka i tych ludzi, powróciły do mnie ludzkie tragedie tego kontynentu i trudne do rozwiązania problemy natury plemiennej, religijnej i politycznej, przerażające swoim ogromem, gdzie w wielu krajach Czarnego Łądu panuje zamieszanie i niepokój, którego korzenie sięgają głęboko i mają swój bezpośredni związek z wierzeniami religijnymi, ze źródłem w ekstremalnej nietolerancji i nienawiści pomiędzy ludźmi.

Co zaskoczyło mnie w tym małym skromnym kościółku, wśród rozległej sawanny i ogromnych plantacjach sizalu i kawy, z dala od Polski i Jasnej Góry, to niewielkich rozmiarów obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, znanej tu wśród tubylców Czaga jako... Black Madonna. Okazało się potem z rozmowy z „kościelnym”, Czarna Madonna otoczona jest tu takim samym ogromnym kultem jak u nas i błogosławiona, między innymi dlatego, że te „nacięcia” na jej policzkach mają dla tych ludzi zamieszkałych u stóp Kilimandżaro, coś ze znamion ich własnych rytualnych praktyk plemiennych. Kiedy i w jaki sposób kopia obrazu, zawędrowała do Tanzanii, do tego kościółka, nikt nie potrafił mi powiedzieć. Podejrzewam jednak, że musiało to nastąpić tuż po wojnie, kiedy reprodukcja tego obrazu przywędrowała tu wraz jakimś bohaterskim polskim

żołnierzem tułaczem, tym „wędrownym ptakiem”, których to wielu spotkałem na mojej drodze. Jest jak wiemy czarna, a więc logicznie rzecz ujmując być może właśnie ten fenomen przemawia również do tych ludzi z plemienia Czaga jako, że zapewne z nim się utożsamiają.

Na tym wspaniałym kontynencie ze wszystkimi jego mankamentami i problemami, czułem, że w jakiejś mierze jestem z tym odważnym nowym światem zespolony, z Czarnym Łądem i z tymi ludźmi, bo życie jest tu, mimo wszystko, pełne dobrych i złych niespodzianek. Nie zadziwiła mnie więc msza święta odprawiana i śpiewana po łacinie, czyli w języku obcym tubylcom, podobnie jak nie budziło we mnie zdziwienia stado słoni, które zagradzało nam od czasu do czasu drogę, a spłoszone warkotem naszych samochodów zwierzęta bez pośpiechu, z nadzwyczajną godnością, dostojnie, ustępowały nam drogę. Podobnie jak melancholijne o smutnych dużych oczach i długich szyjach żyrafy stojące pod drzewami akacji, obgryzające i przeżuwając wolno jej liście, czy eleganckie i powabne w sylwetce, pełne wytworności w ruchu rozmaitego rodzaju antylopy z opuszczonymi głowami, pasące się tuż niedaleko kościółka, wśród traw sawanny.



Żyrafy na afrykańskiej sawannie, fot. arch. T.T. Jaworskich.

Nie zdziwiła mnie nawet lokalna księżniczka z plemienia Czaga, o przepięknej aksamitnej, hebanowej skórze, ubrana strojnie i krocząca z dumnie podniesioną głową, która właśnie zjawiała się przed kościółkiem w asyście swoich dwóch służebnic, podtrzymujących jej opadające do ziemi szaty. Nie zdziwił mnie głuchy metaliczny dźwięk uwieszanej na suchym konarze szyny, który zamiast dzwonu wzywał wiernych na nabożeństwo. Zdziwiło mnie jednak to, że w momencie kiedy jeden z moich operatorów Jerzy Gościk, zamierzył się na nią kamerą, aby zarejestrować tę skądinąd jedyną i piękną w swoim rodzaju scenerię na taśmie filmowej, księżniczka uniosła dramatycznym ruchem obu rąk swoje szaty i wraz ze swoimi służebnicami truchcikiem podążającymi za nią, w popłochu znikła w gąszczu traw sawanny tylko po to, aby za chwilę powrócić i zrobić nam piekielną awanturę w języku swahili za to, że fotografując ją mieliśmy w stosunku do niej złe intencje, z premedytacją zamierzaliśmy zabrać jej... duszę! – *Mimi sitaki* (ja nie chcę), szczerząc piękne i zdrowe białe zęby, krzyknęła piękna księżniczka w stronę czułego na względy młodych czarnych kobiet Jurka, któremu słowa mimo, że powiedziane ze złością czy też z oburzeniem, sprawiły wyraźną przyjemność. – *Mimi kasiki* (jestem zła), *wewe... mbaya Dżu-Dżu* (ty jesteś zły duch). Wtrąciłem

się więc do tego dyskursu, z afrykańską księżniczką z plemienia Czaga i spokojnym pojednawczym głosem powiedziałem – *sisemi Kishvahili... samahani... polo sana* (nie mówię w języku swahili... przepraszam... bardzo mi przykro). Na co jej „royal highness” zwracając się do mnie, Bogu ducha winnemu, ryknęła głosem czarownicy z disnejowskiego filmu „Śpiąca królewna” – *mimi sataki... sataki... wewe punda* (ja nie chcę... nie chcę... ty osłe). Spojrzałem na nią dość wymownie. To że, nie chciała dać się sfotografować to rozumiałem, jej prawo, ale dlaczego nazwała mnie osłem, tego nie mogłem przełknąć. Ponieważ jednak była naprawdę piękna, nawet w tej swojej niepohamowanej złości, dla złagodzenia sprawy odpowiedziałem – *mimi punda... samana samahani* (zgadzam się z Waszą Wysokością... tak jestem osłem i z respektem przepraszam w imieniu mojego kolegi i własnym za to, że jesteśmy intruzami). Księżniczka spojrzała na nas nieco jakby z domieszką kokieterii i udobruchana lecz z kwaśnym uśmiechem na twarzy, zawinęła się i wraz ze służkami, po chwili weszła do kościółka.

Zadziwił mnie też młody tubylczy rzymsko-katolicki ksiądz, którego jak wiemy obowiązuje celibat. Przyjechał on swoim głośno pyrkającym samochodowym gratem zapewne z podziurawionym tłumikiem, ale za to w towarzystwie młodej niezwykle urokliwej, czarnej dziewczyny, aby odprawić świętą mszę, udzielić spowiedzi i ewentualnie rozgrzeszenia wiernym. Zadziwił mnie ten młody klecha nie dlatego, że towarzyszyła mu młoda i piękna kobieta, ale dlatego, że zanim rozpoczął mszę w krótkiej wymianie zdań, jakby chciał się przede mną sam wypowiedzieć, a z pewnością usprawiedliwić, oświadczył mi bez zająknięcia, patrząc mi prosto w oczy, że w jego mniemaniu celibat jest bardzo dziwną i trudną do przyjęcia odgórną propozycją, która tu na Czarnym Łądzie, nie jest łatwa do zaakceptowania. A więc apostata pomyślałem sobie, jako że podważał on tym oświadczeniem kanon, który jest odstępstwem księdza od kapłaństwa. Przełknąłem to jego niesprowokowane i dość niespodziewane oświadczenie, nie podejmując na ten temat dalszej dyskusji.

Podczas mszy zamiast organów kościółek wypełnił chóralny śpiew *Missa Luba*, z towarzyszeniem tam-tamów i kołatek. Tu na sawannie u podnóża Boga Kibo, u stóp Kilimandżaro, było w tym coś niezwykle czarującego i wzruszającego. Pełne wyrazu twarze rozmodlonych w swojej gorliwej wierze ludzi, ich hieratyczne gesty i skłony głów, jakby zatrzymane w filmowej klatce, w czasie modlitwy i błagalne oczy zwrócone w górę, gdzie przez otwór okienny w ścianie było widoczne w dali osłonięte powłoką mgieł pasmo górskie Kilimandżaro, a na tle niebieskiego nieba

najwyższy jego szczyt Kibo z charakterystyczną, lodową bielusięką czapą, uważany przez tubylców za Boga!

Jestem głęboko przekonany, że jeśli kiedykolwiek Mesjasz pojawi się na ziemi, to właśnie tutaj w tym skromnym małym z gliny i słomy ulepionym kościółku, pod Błyszczącą Górą w paśmie Kilimandżaro, ponieważ czuje się, że Chrystus jest tu obecny i... że jest blisko. Ten mały kościółek stał się dla mnie symbolem starej, prawdziwie judeochrześcijańskiej świątyni, jaką zapewne sam Chrystus sobie wyobrażał. Było to jedyne miejsce w ciągu całej afrykańskiej podróży, gdzie za każdym razem, kiedy tam przysiadawałem na ziemi, wpatrzony w krucyfiks, doznawałem szczególnego uczucia - bezpośredniego związku z Bogiem.

Wspomnienia Tadeusza Jaworskiego ukazują się w pierwszy poniedziałek miesiąca.